

W PIZDU... CZYLI DLACZEGO NIE DOJECHAŁEM DO GRUZJI

Tytułem wstępu

Pomysł pojechania do Gruzji narodził się w mojej chorej głowie na podstawie jednego zdjęcia. Była to fotografia Cerkwi Świętej Trójcy (Cmindá Sameba) położonej u stóp leżącego w paśmie Kaukazu szczytu Kazbek (5047 m.n.p.m.) na końcu Gruzińskiej Drogi Wojennej tuż przed granicą z Czeczenią albo jeśli ktoś woli z Rosją.



Potem dopiero rozpocząłem studiowanie wszelkich przewodników i lektur tyczących gruzińskiej historii, zabytków a nade wszystko serdecznej gruzińskiej gościnności.

Po majowym wypadzie do Rumunii miałem z tym krajem pewne porachunki ponieważ chciałem zobaczyć rzeczy, których wtedy nie udało się zaliczyć z powodu braku czasu, czyli Maramuresz i Przełęcz Bicz oraz z powodu zalegającego śniegu czyli Trasę Transfogaraską.

Jadąc przez Bułgarię nie sposób nie skorzystać z szerokich, piaszczystych plaż i ciepłego Morza Czarnego a będąc w Turcji trzeba odwiedzić Kapadocję dla jej wygrzebanych w tufie podziemnych miast i bajkowych form skalnych kształtowanych tysiącleciami przez wiatry i deszcze.

Tak więc plan mój zawily polegał na dotarciu do Poti w Gruzji drogą lądową przez Słowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię, Turcję, zapewnieniu sobie miejsca na promie odpływającym co sobotę z Poti do Iliczewska k. Odessy a następnie na spokojnym zwiedzaniu skarbów gruzińskiej kultury oraz brataniu się z autochtonami przy szklaneczce doskonałego gruzińskiego wina a nawet koniaku.

Niestety życie boleśnie odarło mnie z tych marzeń a produkt firmy o której wspomnę później pozbawił mnie radości beztroskiego podróżowania.

Ale po kolei.

Przygotowania rozpocząłem od pozornie bezładnego rzucania na stół pingpongowy w piwnicy rzeczy, które jak mniemałem, będą mi niezbędne w podróży. Wśród części zapasowych do Afryczki znalazły się dętki, łyżki do opon, mała i lekka sprężarka do pompowania, linka sprzęgła, rurka do ominięcia pompy paliwowej oraz wszelkiej maści klucze. W ostatniej chwili dorzuciłem miernik do badania elektryki, którym umiem się posługiwać w stopniu dostatecznym z dwoma minusami. Po chwili namysłu postanowiłem zmienić akumulator firmy (tfu, tfu) Quand, który zawiódł mnie już kilka razy na taki sam ale nowy, tej samej (tfu, tfu) marki co mi go Kajtek kupił w Sosnowcu na chybicka przed majowym wypadem do Rumunii. Po własnoręcznym i zgodnym z instrukcją zalaniu go załączonym kwasem, dla pewności pojeździłem na nim 2 tygodnie po rodzimych opłótkach by pewności nabyć co mnie na tureckich bezdrożach nie zawiedzie.

Powiesiłem na forum ogłoszenie że jadę i szukam kompana do podróży, ale że nikt się nie zadeklarował pojechać ze starym pierdzielem, no to mówi się trudno. Jadę sam.

Dzień pierwszy (1 sierpnia 2006)

Żegnany czułymi słowy przez małżonkę - "Tylko nie zapomnij przywieźć nam prezentów" oraz córkę robiącą to zdjęcie ale myślącą zapewne - "No, wreszcie nikt nie będzie truł d... przez jakiś czas" opuszczam rodzinne pielesze.



Kieruję się na Jasło, gdzie znany zapewne wszystkim z racji rubasznego humoru i takiejże figury - Paweł, zapewnia mi pierwszy nocleg. Jednak już w okolicach Pabianic, czyli ok. 15 km od miasta Łodzi, skąd Lewar pochodzi, dopada mnie taka oto mniej więcej myśl - "Ty stary kretynie!!! Po jaką cholere pchasz się nie wiadomo dokąd !!!? Kupiłbyś sobie jakąś wycieczkę do Tunezji i wygrzewał stare kości na leżaku, popijając kolorowe drinki w szklaneczce z parasolką i otoczony wianuszkami skapo ubranych kelnerek używał życia !!! W krzyżu ci strzyka !!! Brzuch ci się zwiesza na zbiornik a dupa to dopiero cię rozboli !!! Gdzie cię niesie Stara Pierdoło ?!!!!"

Ale nic to. Jadę.

Moczony przez przelotne deszczyki docieram do Jasła wczesnym wieczorem gdzie w serdecznej atmosferze stworzonej przez Pawłową małżonkę, jego przyjaciół oraz Pawła w rzeczy samej, konsumujemy umiarkowane ilości gorzałeczki i prowadzimy dysputy, oczywiście o motorkach i podróżach ale także z nostalgią wspominamy stare dobre seriale. Ot, dajmy na to tacy "Czterej Pancerni i Pies" albo "Janosik" chociażby. Łza się w oku kręci.

Zdjęć nie będzie bo Paweł to w Jasle osoba publiczna i sobie nie życzył a i mnie po kolejnym drinku ciężko było w aparacie w spust migawki trafić.

Dzień drugi (2 sierpnia 2006)

Przez granicę polsko- słowacką, przez Słowację oraz granicę słowacko-węgierską pomykam bez problemów. Za to w pierwszym węgierskim mieście Satoraljaujhely, jak już sama nazwa wskazuje, łatwo się zgubić i ja oczywiście to czynię. Pytam o drogę ale bezskutecznie bo z potoku słów miłych i chętnych do pomocy Madziarów nic nie rozumiem. A język angielski najwyraźniej nie jest tam w modzie. Węgrzy, choć niewątpliwie sympatyczni, to jako naród posługujący się mową i pismem są całkowicie bezużyteczni a język węgierski powinien być przez Brukselę odgórnie i natychmiast skreślony z listy języków żywych. Niech zajmują się nim lingwiści lub historycy języka jako ciekawostką historyczną.

Na szczęście pierwszy i nie ostatni raz pomaga mi biało-czerwony proporczyk zawieszony na pokładzie Księżniczki. Podjeżdża jakiś Węgier w zdezelowanej Ładzie i łamanym polskim pyta - "Masz problem?" Ja na to, że chcę jechać na Rumunię do Satu Mare. A on na to - "Satu Mare, Rumunia w lewo". O, bądź błogosławion bratanku węgierski, któryś trud sobie zadał aby w niejasnych dla mnie okolicznościach polskiego się nauczyć, który do łatwych języków takż zaliczać się nie może!!!

Przecinam więc chyżo granicę węgiersko - rumuńską i w smutnym mieście Satu Mare obieram kurs na Sighetu Marmatei drogą krajową numer 19, bacznie wypatrując na popas miejsca bom zdrojón wielce a i zmrok pomału zapadać zaczyna.

Znowu mi ten staropolski się wcina. Pastor cóżeś mi uczynił na umyśle ty niecnoto.

Gdzieś za Livadą zauważam prześlicznie na pagórku położony, nowo wybudowany z maleńkich drewnianych deszczulek monastyr i zaciekawiony wspinam się tam szutrową dróżką. Trafiam na jakieś nabożeństwo i zauroczony anielskim śpiewem uczestników przysiadam cichutko na ławeczce. Po skończonej uroczystości (oj nie było krótko) jedna z kobiet przypomina sobie trochę rosyjski i zgadza się abym rozbił namiot na wzgórzu nad monastyrem a wielce klimatyczny bezzębny dziadek pokazuje mi rozpadlinę skąd tryska źródelko doskonałej do picia wody.

Rozkładam namiot, pożeram jakieś wędliny wiezione z kraju, które rozłożone na rumuńskim chlebusiu i popijane rumuńskim piwem Ursus smakują znakomicie i natychmiast zasypiam. W nocy co i rusz nadchodzą lekkie deszczyki ale choć mój namiocik jest malutki i muszę spać w nim na skos to jest on znakomicie wodoodporny. Dzięki Ci Mateo.



Dzień trzeci (3 sierpnia 2006)

Wstaję dość wcześnie i wielce pokrętną drogą zasuwam do jednej z bardziej znanej atrakcji Maramuresz czyli wesołego cmentarza w Sapinta. Tam na nagrobkach jak na dłoni widać kto kim był za życia ale niestety nie wiadomo jakim był człowiekiem i czy aby po śmierci zazna światłości wiekuistej.



O, a ta pani to na pewno sobie u męża nagrabiła.

Opuszczam Wesoły Cmentarz i obieram kurs na boczną drogę, równoległą do drogi nr 19 i biegnącą przez malowniczą dolinę Izy, wzdłuż której można podziwiać drewniane cerkwie i misternie rzeźbione bramy do obejść.



Generalnie po rumuńskich drogach trzeba jechać znacznie wolniej niż pozwalają na to warunki bo nawierzchnie obfitują w niespodziewane wyrwy, roboty drogowe oznaczane są w sposób wielce niefrasobliwy, na zakrętach występuje piasek lub końskie tudzież krowie łajno, za zakrętem może nagle pojawić się krowa właściwa a za krową przyczajony najsprytniejszy policjant w całej Rumunii, który tylko czeka aby wlepić ci mandat.

To właśnie przytrafiło mi się w dolinie Izy kiedy jechałem w miarę wolno i rozdziawiałem się na znakomitą snycerkę ludowych twórców. Niepozorna Dacia Logan stała sobie zaparkowana w cieniu drzewa po lewej stronie a policjant wyskoczył z niej niespodzianie jak kukułka z zegara. Na pytanie czy mówię po angielsku, oczywiście wbrew wszelkim zasadom aby udawać głupiego, ślepego a najlepiej niemowę, odpowiadam, że owszem. Wtedy do akcji wkroczył młodszy z tej Dacii i w niezłej angielszczyźnie tłumaczy mi, że to obszar zabudowany i że powinienem jechać wolniej. Ja mu na to, że jak na motocyklistę to i tak jechałem nie za szybko (75 km/h bo właśnie zwolniłem) a poza tym to wiem, że rumuńska policja jest bardzo uprzejma wobec turystów i z tej uprzejmości nie karze ich mandatami. Gościu łyknał pochlebstwo jak indor kolbę kukurydzy, wziął moje dokumenty i zaprosił do sztandarowego eksponatu rumuńskiej motoryzacji aby zrobić mi pokaz mojej zbrodni.

Tu musze przyznać, że trochę mnie zszokowało wewnątrz radiowozu bo przypominało jako żywo kokpit statku kosmicznego Lorda Vadera, tyle było tam ekranów ciekłokrystalicznych na jakichś przemyślnych wysięgnikach, kamer i innego elektronicznego badziewia. Grzecznie zrezygnowałem z pokazu bo przecież zrozumiałem swój niecny postępek a on zagłębił się w wypełnianie wniosku pt. Proces Verbal, który wielkością i stopniem skomplikowania przypominał polski wniosek paszportowy z czasów wczesnego Gierka. Kto wtedy żył - to wie. Kiedy w myślach przeliczałem stan swoich dewiz, on właśnie skończył wypisywać tą płachtę, bidula, i oznajmił mi, że nakłada na mnie karę ostrzeżenia i że od tej pory rumuńska policja będzie mieć na mnie oko. Ja na to wybąkałem coś, że już będę grzeczny ale tak naprawdę to pomyślałem, że tera to on mnie może... wężykiem.

Pojechałem dalej nieco wolniej i na tej samej drodze zwiedziłem żeński kompleks klasztorny z najwyższą drewnianą wieżą w Europie (56m)



W Campulung Moldavenesc zaczęło lać okropnie i schowałem się pod daszek jakiegoś sklepiku, pod który nadszedła wkrótce grupa Włochów na Goldasie i trzech Beemkach. Pogadaliśmy sobie chwilę oraz wspólnie pokontemplowaliśmy wielką dziurę w jezdni - pozostałość po zarwanej studziencie, którą ktoś litościwie oznaczył zieloną gałązką. Myślę, że dziura do dziś ma się dobrze a gałązka nie jest już zielona.



Jazda drogą E 576 na Suceawę to istna mordęga. Rumuni starają się jakoś łątać wyrwy w na wierzchni i zabezpieczyć ją przed częstymi tu powodziami poprzez układanie na poboczach stalowych siatek z umieszczoną w nich granitową kostką. W efekcie czas jazdy upływa bezproduktywnie na staniu pod czerwonymi światłami na licznych mijankach. Trzeba tu zazna czyć, że dla przeciętnego rumuńskiego kierowcy zielone światło oznacza - jechać, ale czerwone niekoniecznie oznacza - stój. Bywa więc, że stoisz przez dwa cykle i beznadziejnie wygrażasz jadącym z przeciwka na czerwonym świetle bandytom.

W takiej oto scenerii dojeżdżam do Voronetu i oglądam sobie malowany monastyr św Jerzego ufundowany przez Stefana Wielkiego w 1488 r. a pobudowany ponoć w 3mies. i 21 dni. Doskonały stan fresków spowodował, że zabytek ten wpisany jest na listę Światowego Dziedzictwa Kulturalnego i Przyrodniczego UNESCO.





Z Voronetu to już tylko rzut beretem do polskich wiosek gdzie planuję następny nocleg. W Kaczycy nie zastaję legendarnej Pani Gieni ale zajmuje się mną sympatyczne małżeństwo z Poznania, trochę już tam zadomowione. Wieczór spędzamy przy buteleczce przedniej ukraińskiej gorzałki a potem w ramach rewanżu zapraszam ich do miejscowej knajpki, która nieco przypomina nasze rodzime GS-owskie bary z lat 70-tych. Późnym wieczorem wyszukuję najmniej trzeszczące łóżko w 12- osobowej sali i natychmiast zasypiam.





Dzień czwarty (4 sierpnia 2006)

Rano udaję się do Nowego Solańca aby sprawdzić czy droga ufundowana za pieniądze podatników czyli również i moje przez mojego ulubionego prezydenta RP mgr.Kwaśniewskiego jeszcze się nie rozpadła.

Droga trzyma się należycie a ja gadam trochę z dzieciakami, które posługują się nieco archaicznym polskim i mówią do mnie per Wy. Oglądam polską szkołę i robie zakupy mówiąc po polsku w maleńkim sklepiku.



Dziś mam w planach przełęcz Bicz a następnie dojechać jak najbliżej Transfagaraskiej. Bicz robi wrażenie choć wokół komercja. Robię trochę zdjęć i przepłacam okrutnie za dwa mikroskopijne szaszłyki z mielonego mięsa.



Do tej pory drogi były niezłe. Zwłaszcza droga nr 15 wzdłuż jeziora Izvorul Montelui obfitująca w świetne widoki i wiele zakrętów. Natomiast nikomu nie polecam drogi pomiędzy Gheorgheni a Bradesti przez miejscowość nomen-omen Liban. Asfalt znika na wiele kilometrów ale prawdę mówiąc to lepiej aby go w ogóle nie było.

Kląłem jak szewc, że nie wybrałem główniejszej choć dłuższej trasy przez Miercurea Ciuc. Nagrodą za te trudy był pięknie położony nad zalewem nad rzeką Tirnava Mare darmowy camping gdzie wpadam w ramiona przesympatycznych Węgrów, fanów motoryzacji a motocykli w szczególności. Węgrzy kilkakrotnie zaznaczają, że są Węgrami a mieszkają w Rumunii tylko dzięki burzliwym zawirowaniom złośliwej historii.

Generalnie cała środkowa Rumunia zamieszкана jest przez mniejszość węgierską. Dwujęzyczne są tablice z napisami miejscowości a w takim np. Odorheiu Secuiest na ulicach słychać głównie język węgierski. Madziarzy częstują mnie piekielnie ostrą zupą z własnoręcznie złowionych ryb oraz szklaneczką wódeczki własnego wyrobu. Ja odwzajemniam się polskimi kabanosami i piwkiem. Z zaciekawieniem oglądają moją Afri a ja z nie mniejszym ich nieco zabytkowego Avo-Simsona z koszem.





Dzień piąty (5 sierpnia 2006)

Rankiem wyruszam w stronę Fagarasz aby przejechać Transfagaraską, czego nie dało się zrobić w maju. Słoneczny ranek nie wróży załamania pogody ale górski klimat ma swoje kaprysy i przy skręcie na 7C dopada mnie deszczyk, który przeobraża się w burzowe oberwanie chmury. Jadę w strugach ulewnego deszczu, wokół wałą pioruny a ja przeklinam swojego pecha. Znowu niewiele zobaczę. Zatrzymuję się na chwilę w miejscu, w którym w maju zatrzymały nas zwały śniegu i robię zdjęcie.



Nieco dalej, za tunelem trochę się przejaśnia i mogę podziwiać piękno gór oraz dzieło tych, którzy budowali tą drogę z inspiracji i pod światłym przewodnictwem tow. Caucescu - Geniusza oraz Słońca Karpat.



Przed Pitesti niebo się przejaśnia. Wpadam na autostradę i tnę do Bukaresztu, przed którym ostrzegali mnie bracia Madziarzy aby nie stawać bo kradną motocykle. Niestety przed Bukaresztem nie znajduję noclegu i grzęznę beznadziejnie w źle oznakowanych uliczkach śródmieścia. Z pomocą przychodzi mi oczywiście motocyklista na Hondzie Rebel z panienką w kusej spódniczce na tylnym siodełku. Zapatrzony w jej kształtne uda bez przeszkód docieram do autostrady na Konstancę. Po przejechaniu kilkunastu kilometrów zbaczam z "higwaju" aby zaszyć się z namiotem w krzakach nieopodal podstacji trafo. Taki los energetyka.



Dzień szósty (6 sierpnia 2006)

Szóstego dnia docieram bez większych perturbacji do miejscowości Vama Veche, która opisana była przez rodaków w internecie jako cicha i spokojna, maleńka osada rybacka.

Wynajmuję mały domek campingowy na obrzeżach wioski i idę popatrzeć na plażę aby wypić piffko. To co tam zobaczyłem daleko odbiegało od tego co zwykle był widzieć na plażach różnych mórz, które miałem okazję oglądać. W ostatnim szeregu od morza rząd knajpek, z których każda nadawała inny rodzaj dudniącego techno. Następnie sznur zaparkowanych bezładnie, pordzewiałych dacji. Po czym na samej plaży porozbijany namiot przy namiocie, wokół panienki w toplesie a czasem i bez, skakały w rytm łomocącej muzyki a faceci nawet nie usiłujący przykryć dłonią mało imponujących przyrodzeń, żłopali z zapalem piwsko.

Nie powiem, zaintrygowany tym widokiem też baaaaardzo wooolno wypilem cztery piffka.

Miałem tam zostać dwa dni ale w nocy, przerażony dudniącymi łomotami dyskotek i spadającymi w ich rytm karaluchami z sufitu zdecydowałem się spadać stąd jak najszybciej.



Dzień siódmy i ósmy (7 i 8 sierpnia 2006)

Z samego ranka gospodyni o wyglądzie przygłupiej hippiski z żalem oddała mi kasę za jeden dzień a ja bez żalu opuściłem Vama Veche i przekroczyłem granicę z Bułgarią.

Omijając skrzętnie wszystkie okrzykane kurorty dotarłem do Sinemorca, opisywanego w internecie jako miejscowość z najpiękniejszą plażą w Bułgarii. Owszem plaża piękna ale miejscowość taka sobie i namiotu rozbić nie ma gdzie a ceny na kwaterach mało zachęcające. Polaków zatrząsienie i to od jednego z nich powziąłem informację o pięknej zatoczce z polem namiotowym w kierunku na Rezowo. Jadę. I rzeczywiście, przepiękna zatoczka, szeroka piaszczysta plaża, łagodne zejście do ciepłego morza i tanie pole namiotowe z bieżącą wodą.

Tu przez dwa dni korzystam ze słodkiego nic nie robienia. Zaprzyjaźniony szef przyplażowej smażalni o imieniu Zdravko polubił mnie serdecznie i pitrasi specjalnie dla mnie potrawy bułgarskiej kuchni, których ostry smak splukuję zimnym piffkiem Zagorka.



Zaprzyjaźniam się też z mieszaną parą : on - Anglik pracujący dla swojej firmy wodociągowej w Bułgarii ona - Bułgarka pracująca w tej samej firmie i mająca nadzieję na szybkie za niego zamążpójście. Ale tymczasem on ją pyka a ona przy nim szlifuje swój angielski. Symbioza taka.



Dzień dziewiąty (9 sierpnia 2006)

Z żalem opuszczam uroczą plażę za Sinemorcem ale dzisiaj już najwyższy czas na Turcję. Wracam do Carewa i na E87 do granicy w Maliko Tarnowo. Na drodze wielkoświatowe znaki na Istantuł ale nawierzchnia bardzo dziurawa, że aż chwilami wątpię czy dobrze jadę. Moje wątpliwości rozwiewa dwukrotna kontrola dokumentów dokonywana przez bułgarską policję graniczną (a jest taka, jest) na 40 i 20 km przed granicą.

Na granicy marnuję 2 godz. bo bułgarskie służby graniczne z namaszczaniem celebrują kontrolę mojego paszportu a Turcy to już w ogóle przeginają z tą biurokracją. W ogromnej i pustawej hali najpierw idę do okienka nr 1 potem do okienka nr 2 potem z powrotem do 1, potem kupuję wizę, następnie wpisują mi w paszport moto, cobym go aby nie sprzedał, potem do bossa, który wszystko to uświęca swoją pieczętką, następnie do bossa bossów a potem to już tylko normalna kontrola przez ichniego wopistę i ostateczna kontrola przez celnika. Uff!!! Wreszcie jestem a Turcji.

Co mnie podkusiło żeby pchać się autostradą Edirne-Stambuł????! Przecież w planach miałem jazdę przez Pinarhisar i Saray.

Prawdopodobnie miałem dość kiepskich rumuńskich i bułgarskich dróg i zapragnąłem odrobiny komfortu dla swojej d... części ciała stykającej się z siedzeniem.

No więc jadę jak ten King of The Road, nie przekraczając nakazanych 120 km/h bo tureckiej policji jeszcze nie rozpracowałem a i benzyna tu wściekle droga i nagle za zjazdem na Lileburghaz bez żadnego ostrzeżenia kontrolki na konsolce gasną i silnik tudzież w przeciwieństwie do słońca, które pali niemiłosiernie bo jest koło południa.

Staję.

Ściągam klamoty i siedzenie i zaczynam poszukiwania prądu za pomocą miernika, który zapobiegliwie zabrałem ze sobą.

Badam za klemami, na klemach, odpinam klemy i jeszcze raz badam. Z badań moich nie chce wyniknąć nic innego niż to iż padł mi nowy akumulator firmy Quand (niech każdy zapamięta sobie dobrze tą nazwę aby NIGDY nic podobnego nie kupić). Napięcie jest raz 4V raz 8V a czasami nawet 12V ale jak przekręcę kluczyk w stacyjce to spada do 0. Ale przecież, myślę sobie o naiwny, nowy aku nie może tak paść bez przyczyny. Prawdopodobnie w ostrym słońcu nie zauważyłem, że dioda pokazująca ładowanie, którą zapobiegliwie zamontowałem przed podróżą, od dłuższego czasu świeciła się na

czerwono a przy jeździe na światłach to długo nie trzeba aby bateria siadła. Jedyny więc logiczny wniosek to padło mi i ładowanie i aku.

Czyli dupa.

Stoję jak to cielę obesrane przywiązane do płota. Znikąd pomocy. Nie ma telefonów. W zasięgu wzroku żadnych zabudowań. Zatrzymuję samochody. Nic. Żar się z nieba leje. Żadnego cienia, wokół same krzaki Zdejmuję kurtkę, zakładam plażową czapkę i smaruję ramiona i kark kremem z filtrem 30 (dzięki Ci, kochana żono).



Zatrzymuje się Turek samorzutnie i szczeka coś tym swoim niezrozumiałym szczękiem. Pokazuję mu moto i powtarzam do znudzenia "problem". Gdzieś dzwoni i pokazuje mi na migi żebym czekał na pomoc. Czekam dwie godziny.

Nic.

Zero motocykli. Dzwonię 112. O dziwo działa i mówi po angielsku abym zadzwonił 155. Dzwonię. Nie ma takiego numeru.

Zatrzymuje się Turek firmowym samochodem jakiejś angielskiej firmy. Gada po angielsku a właściwie krzyczy, żebym się nie spodziewał pomocy bo Turcja to dziki kraj i w ogóle jeden wielki "piece of shit". Fajnie. Dzwoni jednak gdzieś i mówi że zaraz ktoś po mnie przyjedzie. Czekam dwie godziny.

Nic.

Wreszcie zjawia się jakiś chudy Turek pick-upem z napisem TRAFIK i się mną zajmuje. Gdzieś telefonuje i w ogóle jest ważny. Dogaduję się z nim jakoś na migi, że oczywiście nikt do niego nie dzwonił i przejeżdżał przypadkowo.



Generalnie gościu ma duży talent do języków i zna jedno międzynarodowe słowo "kolega" i to od niego zaczyna każde zdanie czym po godzinie już tak mnie wkurwia, że mam ochotę mu j...

Ale to przecież mój wybawca.

Nie wypada.

Strugi potu spływają po mnie jak górskie rzeki w Rumunii, martwię się o moto a ten fiut wypytuje mnie; ile mam dzieci, jakim jeżdżę samochodem i każde pytanie zaczyna od słowa "kolega". Kiedy już decyduje się gościa uciszyć na wieki, nagle zjawia się laweta i wspólnymi siłami pakujemy Afri na jej pokład. Wygląda to tak żałośnie, że nie mam ochoty robić zdjęć bo niby jak je zatytułuję? Porażka?!!!

Rozmowny Trafik Man odjeżdża rzucając na odchodne - "Kolega!!! Gut baj!!!!". Nie mam nawet czym w niego rzucić więc wsiadam do kabiny i ruszamy. Laweciarz po chwili nagle zwalnia i na świstku papieru wypisuje mi 200\$!!! Każę mu natychmiast stanąć i zwałać motor!!! Chciwiec staje ale nie zwala.

Negocjujemy dłuższą chwilę i ustalamy cenę na 150\$. To zdzierstwo ale nie bardzo mam wyjście. Niechaj Allach, który w swej doskonałości wszystko widzi, wszystko wie i wszystko może, obdarzy żonę tego niegodziwca garbatymi dziećmi!!!

W miłej i rodzinnej atmosferze dojeżdżamy do większego miasta które nazywa się Corlu do nieźle wyglądającego salonu sprzedaży i serwisu motocyklowego. Starszy chudy Turek bez zębów ale w fartuchu odsuwa mnie łagodnie i zręcznym ruchem, na bocznej stopce, obraca na lawecie niewielką przecież Krowę o 180 stopni i dostojnie zjeżdża po pochylni. Niezły jest!!!

Wprowadza Afri na tyły salonu, przekręca kluczyk w stacyjce i naciska starter.

TO BYDLĘ ODPALA !!!!!!!!!!!

Chudy Turek oraz młody i sympatyczny właściciel serwisu a także licznie zgromadzona turecka gawiedź uśmiechają się pod tymi tureckimi wąsikami. Ja spiekam raka.
Ale obciach!!!

Mechanik dokręca klemy i złączki pod lewą pokrywą i na migi oczywiście, pokazuje mi, że połączenia się obluźowały. Przyjmuję te wyjaśnienia bez większego entuzjazmu ale Chudy odpala zołzę kilkunastokrotnie po czym robi sobie przejażdżkę po czym znowu kilkunastokrotnie ją odpala.

Co mam robić? Zapinam kufry i pytam ile się należy. Nic, mówi Szef a Chudy uśmiecha się z wyższością i pokazuje mi, że to się zdarza.

DO KOŃCA ŻYCIA NIE DOWIESZ SIĘ STARY, CHUDY DZIADU JAK BARDZO SIĘ MYLIŁEŚ!!!

Robię 20 km i ta pokraka znowu traci prąd!!!

Zatrzymuję się na opuszczonej stacji benzynowej i jakoś, nie wiem jak, udaje mi się reanimować truposza i przywrócić zasilanie. Tymczasem zapada zmierzch i nieludzko zmęczony zalegam w namiocie w krzakach za stacją benzynową.

Dzień dziesiąty (10 sierpnia 2006)

Właściwie to według planów powinienem już dojeżdżać do Gruzji. Tymczasem dochodzę do wprawy w zwalaniu bagażu, zdejmowaniu siedzenia i reanimacji akumulatora. Zauważam przy tym, że jak stuknę ohydne czarne pudło z napisem Quand kluczem, to napięcie się pojawia. Kilkukrotnie umilając sobie podróż tymi czynnościami dowlekam się do Stambułu postanawiając zakręcić się w tym niemałym przecież miasteczku za nowym źródłem zasilania.



Tymczasem przekraczam most na Bosforze i oto zaraz za mostem, na autostradzie przy zjeździe na Ankarę tracę prąd definitywnie i zdawałoby się ostatecznie.

Wszelkie próby odzyskania zasilania kończą się niepowodzeniem.

O upale zapewne już wspominałem ale powiem, że w wielkim mieście jest on jeszcze dokuczliwszy.

Zatrzymuję Turka, który oczywiście widzi, że mam problem lecz nie bardzo wie jakiego rodzaju ale za pomocą swojej komórki łączy mnie z kobietą, która mówi po angielsku. Wyjaśniam jej, że potrzebuję serwisu, ona na to, że zadzwoni do Hondy, co ponoć czyni i oddzwania, że zaraz ktoś przyjedzie.

Oczywiście, jak to wcześniej bywało, nikt się nie zjawia.

Czy już pisałem coś o upale? Aha, pisałem...

No więc w akcie desperacji na tej autostradzie, olśniony pewnym pomysłem, który przyszedł mi do głowy rozgrzanej Istambulskim słońcem wymontowuję akumulator, otwieram pokrywkę z napisem "Do not open" i dolewam do każdej celi po nakrętce wody, którą miałem do picia, po czym starając się powściągnąć złe emocje, delikatnie NAPIERDALAM PIERDOLONYM wyrobem firmy Quand o krawężnik.

POMAGA!!!

Pojawia się prąd a ja pakuję graty i obieram kurs na Ankarę.

Znaczy się, suchy byłeś biedaku!

No dobra, walę bez problemów coś około 150km autostradą i już czuję się znowu jak król szos kiedy Uparta Mulica dusi się, przerywa i gaśnie. Tym razem kontrolki świecą jasnym blaskiem a ja wiedziony nieomylnym instynktem dobieram się do pompy.

Tymczasem na drodze pojawiają się dwa motorki z Włochami na pokładach. Na Yamaszce TT zasuwa Luigi z Sarą a na Tenerce - Marco. Widząc, że mam problemy zatrzymują się i wspólnymi siłami dochodzimy do wniosku, że straciłem zasilanie pompy paliwowej. Aby nie grzebać po wiązkach zasilamy pompę skrótem z bezpieczników, przewodem, który zapobiegliwie zabrałem ze sobą i po sprawie. Na najbliższej stacji stawiam im po kawie a ponieważ wszyscy posługują się językiem Szekspira równie biegle jak ja czyli słabo i mają tyle lat co ja czyli ok. 26 więc dogadujemy się bez problemów. Nasze drogi mają się jeszcze spotkać.



Tymczasem żegnamy się bo ja przecież ja mam szybszy motor i nie będę się z nimi włókł.
Chłe...Chłe...Chłe...

Pierwsze kłopoty z pompą zaczęły się jeszcze przed Ankarą. Moja Kochana Afri, to wynaturzone dzieło niedouczonej japońskiej inżynierów zakrzusło się i zgasło na przedmieściach stolicy narodu Ataturka ale po chwili postojem odpaliło i pojechało. Nie lubi autostrad, pomyślałem sobie i pomknąłem dalej.

Ankara widziana z obwodnicy wygląda trochę jak dzieło szaleńca, który w swym obłąkaniu porzucił po garści bloków to tu, to tam, po pozbawionych roślinności górkach i nie dbał o to czy miasto będzie swym wyglądem przypominało stolicę jakiegokolwiek innego kraju. Ale to nie mój kłopot, ja chcę do Kapadocji i Ankary zwiedzać nie zamierzam. Tak mi się przynajmniej wydawało...

Dzień jedenasty (11 sierpnia 2006)



Po nocy spędzonej przy wielkim głazie w krzakach za zjazdem z szosy Ankara - Konya na Kirsehir, wstałem rześki i wypoczęty a ponieważ trochę za długo spałem i słońce już operowało niemiłosiernie więc postanowiłem na razie nie zakładać kurтки aby mnie nieco przewiało.

Zrobiłem raptem 5km i silnik legendarnej z racji swej niezawodności Africy Twin zamilkł nagle i niespodziewanie jak hejnał z Wieży Mariackiej w Krakowie.

Resztką rozpędu dotaczam się do zbawczego cienia wysokich topoli i rozpoczynam kolejne wyszukiwanie przyczyny kaprysów Księżniczki.

Na marginesie. Cień jest w środkowej Turcji rzeczą niezwykle rzadką i wielce pożądaną więc jeśli zamierzacie mieć awarię, to planujcie ją tylko w cieniu. Aha, i zawsze miejcie ze sobą wodę do picia. Co najmniej dwa litry zawinięte w ręcznik aby się nie grzała.

Kontrolki świecą. Zasilanie pompy jest a pompa nie podaje paliwa.

Rozbieram pompę pierwszy raz w życiu, czyszczę styki pilniczką zapobiegliwie zabranym ze sobą i udaje mi się przywrócić ją do życia. Jadę.

Nie będę tu zanudzał opisywaniem kolejnych postojów (nie zawsze w cieniu) czyszczenia styków, podginania blaszek itp. dość powiedzieć, że na przedmieściach Kirsehir pompa definitywnie i nieodwracalnie odmówiła współpracy.

Przyszła więc kolej na broń ostateczną i cudowną czyli po angielsku Wunderwaffe czyli na rurkę o pieczołowicie dobranej średnicy, pozwalającą ominąć paskudną pompę, którą to rurkę oczywiście zapobiegliwie zabrałem ze sobą. Na rurce jak to na rurce, za bystro nie pojedziesz, 80 km/h a i to się silnik dusi pod górkę.

Szukam serwisu i znajduję. Serwis to może zbyt szumna nazwa. Parę rozklekotanych motocykli. Syf i bałagan.



Na migi przedstawiam mój problem a mechanik zauważył nietypowy przewód zasilający pompę i już się cieszy, że znalazł usterkę. I jak tu wytłumaczyć gościowi fakt, że jest na świecie facet, który ma takiego pecha, że ma dwie usterki prawie jednocześnie. Najpierw mu pada zasilanie pompy a potem pompa w rzeczy samej.

Nic to. Po krótkiej naradzie stwierdzamy, że trzeba do elektryka. Na szczęście jest dwie wiaty dalej. Gościu zna się na rzeczy, bada pompę i stwierdza, że pompa kaput. W mieście jest serwis Boscha i może oni coś podobnego mają. Prawie szczęśliwy naciskam starter i nic... cisza. Rozrusznik nie kręci.

Allachu!!! Dlaczego mnie nie lubisz!!!

Na szczęście szybko wyjaśnia się, że w przewodzie zasilającym pompę w którym prądu nie było, nagle prąd się pojawił, zrobiło się zwarcie i wywalił bezpiecznik. Nowy bezpiecznik załatwia sprawę i mogę jechać do Boscha.

W Boschu znajduje się facet z laptopem, mówiący po angielsku i dumny z tych dwóch powodów jak małpa z ogona. Po wyłuszczeniu mu sprawy facio informuje, że takiej dziwnej pompy to oni nigdy w Boschu nie widzieli ale zadzwoni do Ankary bo tam jest serwis Hondy i oni pewnikiem takie cudo mają, a jeśli nie, to do Istambułu bo Istambuł to wielkie miasto i tam można dostać wszystko. Jak mówi tak czyni i oto dowiaduję się, że takiej cudacznej pompy nie ma ani w Ankarze ani w Istambule i mogą ją ściągnąć z Europy i będzie to trwało tydzień i jeszcze sprzedają mi cenną wiadomość, że Afryką to można bez pompy. Uprzejmie dziękuję za pomoc oraz niewątpliwie cenne wskazówki i z żalem opuszczam klimatyzowane pomieszczenie.

W zasadzie to już jestem gotów wracać na ty rurce do domu ale na odchodne Szefo serwisu prawie szeptem informuje mnie, że 100 km dalej w Newsehir czyli już w Kapadocji jest serwis Hondy i może oni coś poradzą.

Nie mam nic do stracenia i wlokę się na ty rurce do Newsehir. Tam z pomocą tureckiego motonity na ichniejszym Komarku znajduję ten serwis. Serwis wyglądem przypomina ten poprzedni. Rozwalająca się wiata a w niej brodaty autochton o urodzie islamskiego radykała naprawia wszystko - od czegoś z nazwą trudną do wymówienia i silnikiem jako żywo od MZ-tki po Hondę CBR i inne nowocześniejsze sprzęty. Brodacz wydaje się rozumieć moje potrzeby i zaprasza abym sobie usiadł i poczekał.

Zostaję poczęstowany rytualnym czajem oraz zimną Colą i... nic. Nic się nie dzieje. Na moje nerwowe gesty, domniemany terrorysta reaguje pełnym spokojem i proponuje abym się wyluzował.

Po godzinie tego luzowania ekstremista wysyła gdzieś... czyli w pizdu... chłopaka na motorynce, ten po 15 minutach wraca i... przywozi POMPE!!!.



To nic że przypomina ona pocisk artyleryjski średniego zasięgu i nie pasują mocowania ale ma tak jak powinna mieć pompa w Afri dwa króćce i po przypięciu jej do ramy kilkoma plastikowymi opaskami zaciskowymi ta pompa działa - cudownie działa!!!

Na próbę walę główną aleją Newsehir 170 km/h i uszczuplam swoje zasoby dewizowe o 100\$ za pompę i 30 Lirów Brodaczowi na walkę z Niewiernymi.

Z wielkiej radości wynajmuję sobie pokój z klimą w najdroższym hotelu w mieście za całe 50 Lirów czyli ok. 100 PLN i z satysfakcją obserwuję jak obsługa taszczy moje upačkane jeszcze rumuńskim krowim gównem kufry do hotelowej windy. Biorę prysznic i walę się... do łóżka.



Dzień dwunasty (12 sierpnia 2006)

Po cudownej nocy w wygodnym hotelowym wyrze i wykwintnym śniadaniu (było w cenie) lecę do Goreme czyli wsi w sercu Kapadocji gdzie spodziewam się znaleźć jakiś camping.

I znajduję takowy, z pięknym widokiem na całą Dolinę Goreme oraz małym ale jakże cennym w tak pięknych okolicznościach przyrody basenem. Upał jest taki, że namiot rozbijam na raty, z przerwami na kąpiel. Włosi, których są tu całe tabuny informują mnie, że jest 43C w cieniu.

Wczesnym wieczorem, kiedy daje się już żyć zwiedzam twierdzę w Uchisar oraz Dolinę Goreme. Form skalnych, które tu występują nie podejmuję się opisać. To po prostu trzeba zobaczyć.



Afryczka chodzi poprawnie ale jakoś tak ospale. Brakuje jej powera.

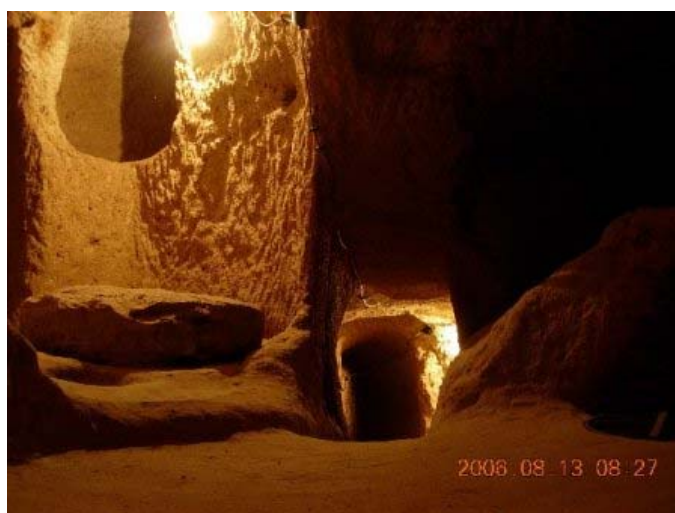
Dzień trzynasty (13 sierpnia 2006)

To był bardzo przyjemny dzień. Wstaję bardzo wcześnie i podziwiam majestatycznie kołyszące się balony, z których bogaci turyści podziwiają bajkowe widoki Kapadocji. Ponieważ ja do nich nie należę, więc udaję się na zwiedzanie motorkiem.



Jadę ok. 30 km, do położonego na południe od Newsehir podziemnego miasta w Kaymakli.

Zostało ono wyryte w miękkich tufowych skałach przez chrześcijan uciekających przed islamskimi prześladowcami. Z moimi wymiarami zewnętrznymi z trudem przeciskam się przez pomieszczenia które służyły tym malutkim zapewne ludzikom jako sypialnie, składy żywności, winiarnie i kościoły. Podziwiam kominy wentylacyjne i olbrzymie kamienne koła, którymi zatykali wejścia do miasta w razie napaści wroga.



Następnie udaję się do niedalekiego Derinkuyu gdzie też jest podziemne miasto ale ponieważ nie mam chęci oglądać czegoś podobnego do Kaymakli, przeto łączę sobie po okolicy chłonąc klimat tureckiego miasteczka.



Tu nadziewam się na trójkę Włochów, którzy pomogli mi na autostradzie przed Ankarą. Witamy się wylewnie i postanawiamy spędzić resztę dnia razem.



Jedziemy do oddalonego o 40km wąwozu Ihlara o głębokości 150m na którego dnie wije się piękny górski strumień pozwalający rozwijać się bujnej roślinności dającej z kolei tak upragniony cień dla strudzonych turystów. We wsi Belisirma jemy posiłek w miejscowej restauracji. Jej urok polega na tym, że stoły i krzesła dla gości ustawione są pośrodku

płytkiej i chłodnej rzeczki przynosząc ulgę zmęczonym stopom. Biesiadujemy tam aż do późnego popołudnia po czym zwiedzamy wyryty w skałach kościół w Selime.

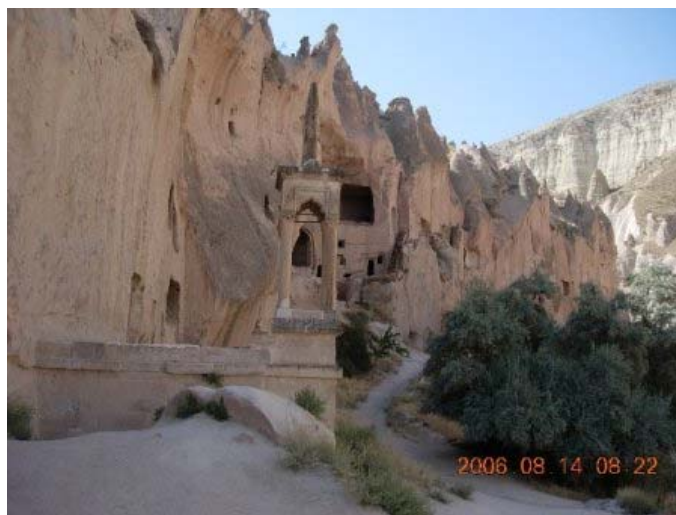


Wieczorem wracamy do Goreme i zapijamy się miejscowym niezłym choć nietanym piwem. Zacieśniamy przyjaźń polsko-włoską do tego stopnia, że Marko wyraża niezłomną wolę odwiedzenia Polski a ja z kolei obiecuje mu, że jak zobaczy moją córkę to nie upłynie pół roku i będzie mówił do mnie "Daddy".

Niestety następnego dnia cała trójka obiera kierunek na Grecję więc wymieniamy się adresami i żegnamy serdecznie.

Dzień czternasty (14 sierpnia 2006)

Rano zwiedzam dolinę Zelve po czym wracam bo jest tak gorąco, że nie da się oglądać niczego poza piwnym barem.



Konstatuję, że w zasadzie nie mam po co pchać się do Gruzji bo jeśli nawet ruszę jutro to i tak ledwo zdążę na sobotni prom do Odessy i na Gruzję braknie mi czasu. Następny prom jest za tydzień i to dla mnie jest zbyt późno. Nie zdążę do pracy. Mimo, że niby prom mam zarezerwowany przez internet, to ukraińskiej kompanii promowej zbytnio nie ufam.

Szansa, że w ogóle dostanę miejsce na promie nie jest duża a mnie się nie chce wracać taki kawał drogi do domu na kołach. Poza tym twardej waluty mam coraz mniej a za to mam niejasne przeczucie, że to nie koniec moich kłopotów z Afri.

A przeczuciom należy ufać...

Postanawiam wracać do domu.

Dzień piętnasty (15 sierpnia 2006)

Rankiem zwijam obozowisko i z bólem serca oraz uszczerbkiem dla kieszeni zalewam zbiornik najlepszym 98 oktanowym paliwem. Ceny benzyny są tu chore ale moc silnika się poprawia i silnik Afryczki aż rwie się do domu.



Aż do Kirsehir czyli całe 100 km...

W Kirsehir (to ta miejscowość gdzie padła mi pompa) zjeżdżam na stację benzynową na kawę, robie zdjęcie księżycowych cen paliwa, wciskam starter lecz z bebeczków Podłej Suki wydobywa się tylko cichy stuk a kontrolki przygasają jak moje nadzieje szybkiego dotarcia do domu.

Dolewam znowu po zakrętce doskonałej tureckiej pitnej wody do każdej z cel głównianego Quanda ale tym razem cud się nie zdarza.

Pakuję więc manele na grzbiet tej Upartej Mulicy, obsługa stacji wypycha mnie na drogę a silnik raczy odpalić. Jadę.

Po ok. 50 km. dojeżdżam do miejscowości Akpınar gdzie na stacji benzynowej ale za to pod rozwalającym się barakiem z dumnym napisem "Oto elektryk" beznadziejna czarna cegła z napisem Quand ostatecznie i nieodwołalnie kończy swój krótki i bezproduktywny żywot.



Właściciel wspomnianego baraku, specjalizujący się jak się później okazuje w naprawach traktorów pamiętających czasy wojen turecko-armeńskich próbuje jeszcze reanimacji główna poprzez dolanie do niego kwasu z innego traktorowego akumulatora, ale próby te wraz z trzygodzinnym ładowaniem kończą się klęską. W chwili gdy muszę do toalety, fachowiec wymontowuje mi także prądnicę, urywając przy okazji śrubę od osłony kolektora i ogląda agregat z ciekawością. Pewnie nic podobnego w ciągnikach nie widział. Ręce i majtki mi opadają. Chyba resztę urlopu spędzę w Akpunar (prowincja Kirkalle).

W duchu dokonuję samoo...pieprzenia, że jednak nie kupiłem nowej baterii w Stambule ale pomoc to w tej sytuacji już nie może. Na domiar złego i nie wiadomo skąd pojawia się dwóch podejrzanych osobników przedstawiających się jako zbiegowie z Republiki Mołdowy, jednak ich dziwny rosyjski a także znacznie odbiegające od światowych standardów maniery, nie napełniają zaufaniem. Tak więc opcja z zostawieniem maneli i udaniem się do Ankary po akumulator autobusem raczej odpada.

W każdej sytuacji można znaleźć jednakowoż jakieś wyjście i wkrótce nadchodzi ono pod postacią młodego Turka zajeżdżającego na stację Toyotą na holenderskich numerach, mówiącego po angielsku i oferującego swoją pomoc. Potencjalny wybawca zmierza wprawdzie w kierunku przeciwnym do Ankary ale znając turecki może zadzwonić do tamtejszego serwisu Hondy gdzie zapewne czeka na mnie olbrzymia sterta nowiutkich i naładowanych akumulatorów do Afryk jakiejś renomowanej firmy.

Niestety serwis Hondy w Ankarze informuje, że nie ma pojazdów do ściągnięcia z drogi pechowych polskich turystów na motorach ale może wysłać po mnie pomoc drogową. Jednakże, ponieważ odległość między Akpınar a Ankarą wynosi ok. 160 km więc będzie mnie to kosztowało 200 Euro.

Cóż, ponieważ pieniądz rzecz nabyta a ja jestem właścicielem trzech kopalni złota na Syberii więc ochoczo przystaję na tą kuszącą propozycję.

Siadam sobie w cieniu i przez trzy następne godziny patrzę w te bezmyślne, podwójne, wyłupiaste ślepia krowy co nie chce jechać do domu.

Oczywiście w ciągu wspomnianych trzech godzin, zgodnie z tureckim obyczajem, który już zdążyłem poznać, żadna pomoc się nie zjawia. Za to mołdawscy banici prezentują mi kierowcę z osobowym bussem, który po wymontowaniu dwóch rzędów krzeseł byłby skłonny przewieźć mnie do Ankary za 100 Euro i jeszcze nie chcą za pośrednictwo ani grosza.

No proszę, człowiek żyje na tym świecie już parę lat i ciągle nie zna się na ludziach.

Nie bez problemów pakujemy kupę japońskiego złomu, bagaże oraz nieudanego "Easy Ridera" do busa i dobrze po 23 wieczorem przybywamy do Ankary.

Rozumne chłopaki z ochrony Honda Plaza nie proponują mi trzygwiazdkowego hotelu z turecką łaźnią i panienkami ale rozkładany fotel w obszernej Renault Laguna, która jakimś szczęśliwym zbiegiem okoliczności ma otwarte drzwi.

Tym sposobem we francuskim aucie, na terenie serwisu japońskich pojazdów w tureckiej stolicy, ja Polak, spędzam sobie noc piętnastej doby mojej podróży.



Dzień szesnasty (16 sierpnia 2006)

Z samego rana czyli o 8:30 w okazałych budynkach Honda Plaza rozpoczyna się codzienna krzątania.

Sympatyczni mechanicy w lot pojmują w czym problem ipodłączają pod prostownik starego śmiecia, którego nazwę już znacie. Widząc jednakowoż moją historyczną reakcję na te czynności i kategoryczną odmowę ponownego założenia tego sprzętu przynoszą nowiutką żelową Yuasę, zalewają ją i podłączają pod ładowanie. W międzyczasie podpinamy pod Krowę inny aku i Mućka pyci ale prąd ładowania wynosi coś ok. 11 V. Elektryk kręci głową i pisze na karteczce, że na 80% także regulator jest "kaput". Sam bez przekonania, usiłuję przekonać go, że jak podłączy właściwy aku to prąd się polepszy.

Bakteria się ładuje a ja ruszam na nieco przymusowe zwiedzanie Ankary.

Po ok. 4 godzinach podpinamy Yuasę i woltomierz pokazuje ładowanie 14,5-14,7 V.

Cudownie!!!



Chłopaki z własnej woli sprawdzają mi ciśnienie w oponkach, przedmuchują KN-a i dolewają płynu do zbiorniczka tylnego hamulca. Ja rozdaję im koszulki z orzełkiem, które zakupiłem jako souvenir dla uroczych zapewne Gruzinek. Płacę 250 Lirów i obieram kurs na tureckie wybrzeże M. Czarnego mając nadzieję na chwilę oddechu w urokliwych zatoczkach i piaszczystych plażach w rejonie miasta Zonguldak.

Zasuwaam ok. 200km. BEZ ŻADNEJ AWARII!!!!

JESTEM W SZOKU!!!

Zielona dioda od ładowania, która na Quandcie mrugała na zielono pokazując ładowanie dostateczne, na Yuasie świeci ciągłym zielonym światłem, czyli ładowanie doskonałe.

W Zonguldak wysoka ciężarówka zasłania mi znaki i pakuję się w samo centrum portowego śmierdzącego miasta, które nawet jak na tureckie warunki jest wyjątkowo zatłoczone.

Zapytani o drogę tureccy policjanci na motorach tworzą dla mnie honorową eskortę i na sygnałach pilotują mnie do obwodnicy na Istambuł.

Z wysokości drogi oglądam wybrzeże i przecieram oczy ze zdumienia. Turcy wywalają miejskie śmieci wprost na nadmorskie plaże a dzikie psy i morskie ptaki rozwlekają je po całej okolicy!!!

Do morza wpływają śmierdzące rzeki-ścieki. Chyba nie tędy droga do Europy.

Postanawiam nigdy nie kapać się w tureckim Morzu Czarnym.

Tymczasem znajduje miły hotelik, wywalczam 5 Lirów zniżki dla motocyklistów z Polski i zasiadam do wieczornego, rytualnego piffka, bo od wielkiej ilości wypitej wody czuję, że zaczynam rdzewieć od środka.



Po chwili przysiada się do mnie gruby, jowialny Turek z identycznie wyglądającą żoną, która kończy właśnie filologię angielską na tamtejszym uniwerku. On mi z wielkiej sympatii do polaków darowuje czapeczkę, ja jemu ostatnią koszulkę z orzełkiem, on odpowiada piwkiem no to ja też nie gorszy i tak do późnej nocy gawędzimy sobie i utyskujemy na ciężkie życie i niskie zarobki w obu krajach.

Dzień siedemnasty (17 sierpnia 2006)

Rano w wielkim pośpiechu płacę ale zapominam oddać kluczy do pokoju. Zauważam to dopiero przed Stambułem. Trudno, nie będę przecież wracał. Breloczek nawet ładny jest - mosiężny. Będzie pamiątka.

Tym razem Cieśninę Bosforскую pokonuję promem. Kolejka pojazdów do niego jest baaaaardzo długa ale korzystam z jednej z bandyckich metod Mojego Motocyklowego Guru czyli Mirka z Łodzi i bardzo uważając aby nie pourywać sobie kufrów, bezczelnie pcham się na początek kolejki.

Widoki na Stambuł a szczególnie na Złoty Róg są rewelacyjne i obiecuję sobie, że muszę tu koniecznie jeszcze raz przyjechać i na spokojnie pozwiedzać.



Tymczasem pcham się przez zatłoczone centrum a tureccy kierowcy omijają mnie na grubość noża.

Wypadam na autostradę na Udirne wprost do granicy z Bułgarią i mknę nią BEZ ŻADNEJ AWARII ponad 1000km.

Właściwie to znowu zacznam lubić tą pocziwą krowę.

Na granicy w Kapitan- Andreevo kolejki okropne ale znowu palę głupa i wspomnianą już metodą Mirka walę na początek kolejki. W strefie wolnocłowej wymieniam resztki lirów na karton Marlboro i flaszkę Łyskacza a bułgarski celnik wita mnie po polsku - "Jak się Pan czuje?"

Czuję się świetnie bo cholerne moto się nie psuje i jak by nie było to jestem znowu wśród Słowian.

Ok. 50 km. za granicą znajduję mały motelik i pożeram półmisek znakomitych bułgarskich mięs z grilla. Ponieważ przywykłem do tego, że jadłem jeden posiłek dziennie albo wcale, więc męczę się okropnie nie mogąc usnąć.

Dzień osiemnasty (18 sierpnia 2006)

Rano obieram kurs na dawną stolicę Bułgarii Veliko Tarnowo. Po malowniczej drodze, zygzakami, wśród pięknych lasów, wspinającej się wyżej i wyżej docieram do Szipki czyli przełęczy w Górach Szipczańsko-Trewińskich gdzie w roku 1877 podczas wojny rosyjsko-tureckiej wojska rosyjskie wraz z bułgarskimi ochotnikami zatrzymały armię turecką.



Przejeżdżam przez senne Gabrowo, którego mieszkańcy są w Bułgarii obiektem niewybrednych żartów podobnie jak w Polsce mieszkańcy Wąchocka. Gabrowianie są także ponoć bardziej skąpi niż wszyscy Szkoci i Krakusy razem wzięci.

Bardziej skąpi niż Krakusy?!!! Nie, to chyba niemożliwe.

Docieram i zwiedzam Veliko Tarnowo oraz położoną nieopodal twierdzę Carevec której powstanie datuje się na okres rządów cesarza Justyniana Wielkiego a od VIII w. to stąd rządzą kolejni władcy Bułgarii. Oglądam jeszcze Skalę Straceńców skąd władcy owi zrzucali do rzeki zdrajców i nieposłusznych poddanych i udaję się w dalszą drogę.





Afryczka idzie jak burza i się nie psuje.

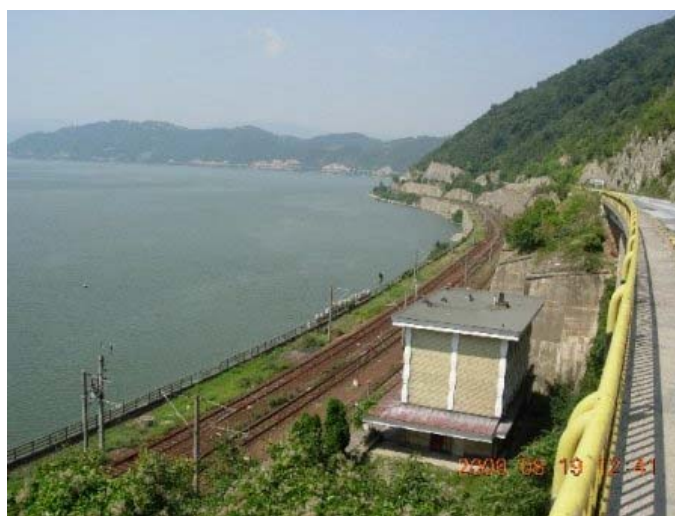
Nuda. Po prostu nuuuuda!!!

Nocleg, czyli miejsce na namiot znajduję tuż przy dużym rybnym stawie hodowlanym obok wioski, której nazwy nie pomnę. Wiem tylko, że po drodze mijałem miejscowości o znajomo brzmiących nazwach jak: Pupki i Sopot. Było nawet miasto co nazywało się Montana.

Człowiek pilnujący stawu, poczęstowany szklaneczką whisky przypomina sobie znieśacka rosyjski i usypia mnie opowieścią o swoich ośmiorgu dzieciach.

Dzień dziewiętnasty (19 sierpnia 2006)

Granicę Bułgarsko-Rumuńską przekraczam przez Dunaj promem w Vidin i kieruję się na przełom rzeki w Drobeta Turnu-Severin. Oglądam dużą elektrownię wodną oraz podziwiam kunszt budowlańców, którzy w wielkim zapewne trudzie poprowadzili drogę oraz biegnące poniżej tory kolejowe górskim zboczem przez liczne wiadukty i tunele wzdłuż błękitnego i szerokiego Dunaju.



Kiedy porzucam Dunaj i obieram kurs na Timisoarę droga zamienia się w koszmar. Europejska z nazwy E70 jest wąska, dziurawa, z mnóstwem powolnych ciężarówek mozolnie pnących się pod górę, które trudno jest wyprzedzić.

Za Timisoarą jest już dużo lepiej tylko ta nuuuuda. Afri się nie psuje.

Pod wieczór docieram do Oradei i znajduję motelik, w którym postanawiam spędzić noc.

W moteliku właśnie odbywa się przyjęcie weselne ale smutne jakieś - jak stypa. Po wysuszeniu resztek Łyskacza, przy wieczornym tradycyjnym piffku w barze, wyjaśniam kelnerce, która mówi po angielsku, że w Polsce to jak nikt na weselu nie zginie to wesele jest nie udane i goście są niezadowoleni. Tej, oczy się robią jak talerze, patrzy na mnie jak na zwierza dzikiego i odsuwa się na odległość ciosu.

Generalnie problem w tym motelu jest taki, że są dwie ładne kelnerki, które niestety nie mówią po angielsku i jedna - ta która mówi, ale brzydka. Kiedy po kolejnych drinkach i w tej brzydkiej znajduję coś interesującego - znak to najwyższy, że pora iść spać (droga żono).



Dzień dwudziesty (20 sierpnia 2006)

Wjazd na Węgry jest wielką ulgą dla d... części ciała stykających się z siedzeniem motocykla.

Mknę po aksamitnym asfalcie przez miejscowości o nazwach za długich i za trudnych do wymówienia a co dopiero do napisania.

W jakiejś wiosce napotykam na otwarty pomimo, że jest niedziela, sklepik i kupuję za Euro cały karton mojej ulubionej paprykowej pasty (oczywiście "csipos", czyli dla prawdziwych mężczyzn) i solidny kawał prawdziwej węgierskiej paprykowej kiełbasy.

W Tokaju nabywam butelkę wina o takiej samej nazwie co miejscowość i jakoś upycham ją wśród bagaży. Właściciel winnicy poinformowany, że nie mam forintów i drobnych Euro odzywa się łamanym polskim, że "Złoty być baldzo dobla piniądz" i wydaje mi resztę z 50 PLN, polskimi dziesięciozłótkami.



Na Słowacji o dziwo nie leje, za to tuż za polską granicą widzę pierwsze od prawie dwóch tygodni chmury. Podziwiając je, z głową zadartą do góry, omal nie uderzam nią w autobus relacji Dukla-Jasło przekraczający podwójną ciągłą na zakręcie.

Mijam szczęśliwie pułapkę złożoną z policjanta z suszarką chytrze zapewne ustawioną przez Pawła z Jasła bo myślał cwaniaczek, że odejdzie mnie ochota na kawę u niego. Niedoczekanie Twoje chytrusie - przelatuje mi przez głowę. Wyłopuję więc u niego kawę i jeszcze butelkę mineralnej. A, co?!!! Chwilę gadamy, zmieniam koszulkę i lecę dalej. Koło Kielc dopada mnie burza, którą po tureckich upałach z lubością przyjmuję na klatę i ok. 21.30 wpadam w ramiona stęsknionej (moich kart kredytowych) rodziny.

Aha! Wyluzowany ale strasznie zmęczony, wpychając obładowana jeszcze bagażami Kochaną Afryczkę do garażu nagle wypuszczam kierownicę z ręki i moto zalicza pierwszą, jedyną i ostatnią glebę w tej podróży.